Nr. 20. Lwów, 16. października 1903. Rok XXVI.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Borkowski hr. Juliusz.
2. Wiśniewski Ludwik dr.
3. Uznański Witołd.
4. Żakiej Poraj Aleksander.
5. Potocki hr. Bolesław.
6. Mycielski hr. Alfred.

Z rykowisk.

Perehińskie rykowisko.

Powiedziano kiedyś, że mowę dał P. Bóg ludziom na to, by myśli swe lepiej kryć mogli. — Być to może. — Mnie jednak zawsze bardziej uderzał inny fakt — a mianowicie, że ile razy chciałem podzielić się wielką radością lub wielkim smutkiem z drugimi — tyle razy mój mowny organ zawodził i gestem, spojrzeniem, trzeba było dośpiewywać to, czego usta wypowiedzieć nie były w możności.

Tak się ma rzecz i dzisiaj, kiedy chciałbym podzielić się z całą wielką drużyną myśliwską szczęściem, jakiego w perehińskich zażyłem puszczach.

Nie pisać nie można, bo nie godzi się w ponurych żyjąc czasach, nie podzielić się z drugimi jasnym promykiem, co go łaskawie św. Hubert zesłać raczył.

Trzeba więc napisać — ale równocześnie o pobłażliwość czytelników prosić — boć ręka od lemiesza piórem władać nie zwykła.

Perehińskie góry to raj prawdziwy — to eldorado myśliwskie.

Scenerya wspaniała — bo to poważne już góry — wyniosłe szczyty, stoki przepaściste — trzeba mieć nogi i płuca w porządku, by tu się zapuszczać. Flora świetna rozmaitością — bo od buka począwszy wszystko tu spotkasz aż do kosodrzewiny a wreszcie nagiej skały, siwozielonym mchem brodatej.

Wody kryształowe, wartkie a lodowate.

A wśród tych ram wspaniałych, olbrzymich — cała nasza górska fauna, spokojny, dostatni wiedzie żywot.

Myśliwy każdy mnie zrozumie, gdy powiem, że spotkany na płaju świeży, powiedzmy „ślad“ niedźwiedzia, o barwach dziwnie różowo-fioletowych, niedźwiedzia, co widocznie gogodzów nadużył — nieco dalej trop wilczy lub rysi — dziwnie łechcąco na nerwy działają,

Parsknięcie niedźwiedzia tuż za tym kosodrzewem, błyśnięcie ślipiów wilczych o północku tuż pod kolibą, mignięcie za złomem rysia — to stymulansy nielada!

A cóż dopiero powiedzieć o tem doprawdy nieziemskiem uczuciu, jakie w piersi każdego budzić musi wielki, grzmiący jak surma wojenna, a jednak chwilami taki tęskny hejnał — jakim króle karpackie — jelenie, pierwsze brzaski jutrzenki witać zwykły.

Wśród brzmienia takiego to hejnału olbrzymów leśnych, w przecudny poranek 1. października, w chwili gdy nad wschodem jeszcze w pełni zorza poranna błyszczała, a tylko nieśmiałe, ledziuchne chmureczki-panienki, co czekając słońca, na noc na szczycie „Płyśca“ przysiadły, dopiero kraśnieć poczynały — a cały bezmiar lasu dokoła, jeszcze czarny, tylko gwiazd światłem w rosy kroplach migocących oświetlony — w takiej podniosłej chwili schodziłem z mej koliby na „Jajku“ ku sadybom „czudesnych“ jeleni pod „Werchem Mołodą“.

Przodem Matwij, pobereżnik, mój przewodnik — z latarką; dalej ja — za mną Wasylko, chłopak z Perehińska, co mi torbę nosi.

Gdy widnieć poczęło, jelenie na chwilę ucichły, jakby skupione Stwórcy pokłon oddać chciały, poczem nagle, z wszystkich gór i z w o r ó w zagrzmiały razem.

Matwij przystanął i szepce: „Oni nas zowut!“ I ruszyliśmy raźniej ku dołowi.

Po chwili narada. Przed nami, zawsze jeszcze w dole, słychać ciągle pomrukujące dwa czy trzy rogale. Wiatr ucichł, został tylko przeciąg w powietrzu — musimy zboczyć w prawo ku górze. Schodzimy z płaju, i odtąd najpierw czapaszem (jelenią ścieżką), potem na przełaj przez gąszcze nam droga. Jeden jeleń ryczy trochę niżej, krótko, gniewliwie, strasznym basem — co chwila straszy tylko — drugi w tej, co my wysokości, nieprzerwanie, wyzywająco. Co chwila nadsłuchujem — słońce właśnie na dobre wstało — gąszcz coraz straszniejszy, jeleń ów drugi coraz niżej schodzi — podskakujemy jak pod głuszca — tylko w czasie ryku.

Nareszcie kończy się ten mur zieleni — pełzając wychodzim na brzeg niegdyś jasnego, dziś jak ruina wielkiej, dawno zamarłej stolicy, wyglądającego zrębu. Tysiącletnich olbrzymów tułowy sterczą gdzieniegdzie ku niebu — inne powalone, a nad nimi, pod nimi, wśród nich morze rozmaitego drobiazgu leśnego — malinnik naturalnie górą. A wszystko przesłane srebrzystym jakimś mgławym całunem. Do dwóch ryczących jeleni dołącza się u góry w gąszczu trzeci, po chwili u dołu czwarty, a gdzieś hen w puszczy piąty i szósty. I tak brzmi las gigantów rozhoworem. Widzę na 200 mniej więcej kroków przed sobą, nieco w dół, olbrzymiego rogacza — to pan placu (Platz-Hirsch), jak wściekłym rykiem i wścieklejszym ruchem, zapędza do gromady płochą łanię, co chciała widocznie nadchodzącego rywala powitać. Widzę tego rywala, jak miarowym truchtem, łeb do góry, łyżki (uszy) nastawione, podbieguje ku drugiej łani w tyle stojącej. Nie strzelam, bo chcę widzieć i słyszeć, bo nie śmiem przerywać tej boskiej sceny. I wydaje mi się, że mnie gdzieś w inne światy, w inne czasy zwłaszcza, dobroczynne tych puszcz duchy przeniosły. Między tymi olbrzymami brakło tylko Wuotana i Erdy, by siadłszy na złomie, co ich czasy pamiętał, sądy rozpoczęli, komu z tych olbrzymów wiotką przyznać połowicę. Chwilę myślałem, że runą na siebie i w nieziemskim turnieju losy swe ważyć będą — alem się omylił.

Czy łagodność słowiańska wstrzymuje je od bitki — czy może z równin nadwiślańskich aż tu już przedostała się owa zawiść, co platoniczną być chce i umie — dość, że te potężne zapaśniki od słów do czynów nie przechodzą. Ale słów, jak grzmoty, marnują dużo. Straszą się, grożą wzajemnie, to znów długim, przeciągłym, pełnym rzewnej tkliwości tonem do łań się odzywają.

W końcu jednak, po chwili, która mi się wiekiem wydała, i te potężne gardziele nużyć się poczęły. Coraz rzadziej, coraz krócej porykują.

Przytomnieć zaczynam i przychodzi mi na myśl, że jednak celem moim tutaj – strzał. Już głównego jelenia nie widzę, choć słyszę — stoi zakryty gąszczykiem świerkowym. Ów drugi, napastnik, ma się również ku gąszczom. Ani chwili tracić mi więc nie wolno. Strzelam tedy do „drugiego“. Zwierz się pochyla, klęka, wstaje i na sztych na mnie wyciągniętym wraca kłusem, mimo śmiertelnej pierwszej kuli. Na 80 m. ruluję go ponownym strzałem. Ale nie idę do niego, bo las dalej brzmi rykiem tamtych jeleni. Czekam godzinę przeszło — jelenie nieco dalej w las się cofnęły — ale ryczą. Nareszcie idę do trupa — jelenie wciąż ryczą. Gdy siadam cicho koło wspaniałego mego, wprost olbrzymich rozmiarów 12-taka, który kiedyś, przed laty, w walkach jak dzisiejsza, stracił oko i ząb prawy — robi się poniżej mnie łomot niezmierny, z gąszczu wypadają dwie łanie, za niemi, widocznie bardzo spłoszony, 8-mak, wreszcie z rykiem wściekle namiętnym przepiękny 16-tak. Strzelić ni chcę, ni mogę, bo to wszystko na 300 kroków odemnie przesuwa się tylko przez zrąb i w gąszczu znowu ginie. Odbieramy rogi i uchodzimy sami w najbliższe zarośla; ze zbliżającego się ryku i z góry i z dołu wnoszę, że tu, w tem widocznie uprzywilejowanem miejscu, nowy się rozpocznie turniej. Ledwie dwie godziny później moje oczekiwanie się ziszcza. Trzask gałęzi, tentent racic, grechoty toczące się z góry, a nad tem wszystkiem panujący coraz to bliżej, coraz namiętniej, coraz wścieklej grzmiący ryk dwóch bardzo grubych „krasnych“ jeleni — zwiastują, że nowe zapasy się rozpoczną.

Ze sztućcem w ręku sadzę, jakbym skrzydła miał u ramion, w stronę skąd ten piekielny mnie dochodzi hałas. Dochodzę na 20 może 10 kroków do jeleni, które mi niestety mur zieleni kryje. Jeszcze dwa skoki a muszę jednego przynajmniej zobaczyć. Woń ich przepełnia powietrze, niemal oddech ich i sapanie czuję na twarzy, gdy wtem złowrogi chłódek uczułem na karku i tyle głowy — to wiatr zakręcił — i wszystko skończone!

Jelenie, rycząc wprawdzie ciągle, odskoczyły odemnie i stanęły hen gdzieś na szczycie, chwilę jeszcze ryczały, potem mruczały, wreszcie ucichły. Zakląłem i siadłem... Zdradził mnie Aeol nieszczęsny. Czekałem do zmierzchu — lecz daremnie.

Tak skończył się ów dzień wspaniały.

Wasylko miał co nosić, bo rogi mego olbrzyma ważyły 13 klgr., a choć teraz Św. Hubertowi serdecznie za dzień ten i tego jelenia dziękuję, wówczas wracając do koliby, bardzo ciemnym krokiem, w coraz to ciemniejącą spoglądałem puszczę.

Tu niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na ciekawy objaw, przez kilku myśliwych w obecnie minionym tegorocznym sezonie skonstatowany, a mianowicie, że jeleń, strzelony na dalszy dystans bezdymnym prochem, regularnie na myśliwego wraca. Czy to echo strzału on słyszy więcej niż sam strzał — a że dymu nie widzi, więc rusza w przeciwnym kierunku, jak odgłos strzału usłyszał — czy inna tego przyczyna, nie wiem — fakt jednak konstatuję.

A kiedy już o efekcie strzału wspomniałem i to jeszcze dodać pragnę, że zdaniem mojem jedyną kulą na górskiego jelenia jest pocisk płaszczowy z otwartym ołowianym szczytem (Dreiviertel Mantelgeschoss) naturalnie z odpowiednio silnym nabojem prochu ($2\frac{1}{2}-2\frac{3}{4}$ gr.). Zwierz pada, rażony jak piorunem, nawet gdy się go mniej dobrze trafi. Postrzelenie uważam za wykluczone. W czasie czterodniowego pobytu w Perehińsku, strzelając ze sztućca kal. 7 m/m 2,6 gr. prochem bezdym., zabiłem 5 jeleni, z tych do jednego tylko dublować musiałem.

Pragnąłbym szczerze odzwyczaić naszych Panów myśliwych od używania lunet na sztućcu. Tylko krótki lub słaby wzrok może, zdaniem mojem, usprawiedliwić używanie lunety do strzału. Myślę, żeśmy jeszcze dosyć zdrowi i silni wszyscy, by pofatygować się nieco dla króla gór i dolin. Strzały ponad 300 kroków powinny być wykluczone. Strzelanie z lunetą i podpórką, to — powtarzam w normalnych warunkach — już prawie przestaje być myślistwem. Miejmy przytem wzgląd i na to, że jeżeli nie będziem szanować nieco tego królewskiego zwierza, i będziem ciągle najpiękniejsze wybierać rogacze a jałowych łań i rozmaitego gatunku chłystów, chmyzów i nieponiów nie będziem systematycznie odstrzeliwać, to niebawem musi ten wspaniały ród karpackiego jelenia koniecznie zdegenerować.

Jestem stanowczym przeciwnikiem wszelkich ciał zbiorowych, obradujących itp., tu jednak myślę, że wyjątkowo bardzo by na czasie było, zwołać zebranie wszystkich myśliwych, polujących na jelenie w naszych górach, i zastanowić się nad tem, czy i co by należało przedsięwziąć, aby owej smutnej ewentualności zapobiedz.

Na zakończenie rozkład tegoroczny perehiński:

Ogółem padło przez dni 14-cie 26 sztuk jeleni, z tego w pierwszych dniach 6-ciu tj. od 21. do 27. września dziewięć sztuk — reszta tj. 17 jeleni od 28. września do 3. października. W tem: jeden 18-tak zabity nad granicą węgierską na „Popadyi Korytwennej", dwa 16-taki zabite na górze „Czuta" i „Mszana Łużki", jeden 12-tak zabity „pod Werch-Mołodą" koło Jajka — (anormalny), siedm 14-taków i ośm 12-taków normalnych, z których jeden dobity po skłuciu go przez drugiego jelenia, siedm 10-taków, wszystkie z koronami (Kronenzehner).

Waga rogów 18-taka 9 klg., grubość 17 *cm.*, wysokość 1·15 *mtr.*, rozpięcie 1.09 *m.* Waga rogów 16-taka 8 klg. Waga rogów 12-taka anormaln. 13 klg., grubość 14 *cm.*, wysokość 1·17 *mtr.*, rozpięcie 1·23 *m.*, oczna odnoga u 12-taka anormalnego długości 47 *cm.*

Dalej ruszono, lecz bez strzału, na Mszanie i między Jajkiem a Rosochaczem niedźwiedzia i niedźwiedzicę z 2-ma piastunami, dalej wilka na Płyścu i rysia na Popadyi, wreszcie 6 głuszców, kilkanaście jarząbków i słonek.

Takie to cuda i dziwy łaskawy a dostojny perehiński gospodarz pozwala swym gościom przy godach jeleni uwielbiać.

Jemu i Jego najmilszym Braciom, co tak przemile Go zastępywać umieją, śle każdy, co miał szczęście tam polować, serdeczne, z głębi myśliwskiej duszy płynące: „Bóg zapłać!" — A dzięki także i dzielnemu tak pięknie i po za myśliwstwem sobie poczynającemu głównemu perehińskiego państwa zarządcy.

Nie za wiele powiedziałem, mówiąc „Bóg zapłać". Pobyt w górach, te królewskie łowy — w tej ciszy i samotności, w odcięciu zupełnem od wszystkiego, co małe, codzienne, co dręczy i męczy, tam gdzie nieziemski panuje spokój, oko w oko z nieskalaną jeszcze ręką ludzką przyrodą, tam wysoko, więc i Stwórcy bliżej — to nie płocha zabawa, to nie sport tylko, to przedewszystkiem w wielkim stylu myśliwstwo, to dobroczynny dla duszy i serca balsam, odpoczynek i pokrzepienie!

P. S.

Jasień.

Górka w październiku.

W naturze człowieka jest chęć dzielenia się z innymi tak radością, jak i smutkiem, myśliwi jednakowoż tworzą o tyle wyjątek, że o ile w radości są często przesadnie wylani, o tyle w nieszczęściu zamknięci są w sobie i pomijają milczeniem wszystko to, co nie po ich myśli wypadło. Choć należę dziś do tych szczęśliwych, którzy mają prawo być wylani i czują potrzebę podzielenia się z innymi wrażeniami odniesionemi, jednakowoż poprzestaję tylko na sprawozdaniu: wyliczeniu zabitej zwierzyny, mych strzałów i warunków, w jakich strzelałem. Nie silę się bowiem wcale na opis wrażeń odniesionych w czasie rykowiska; znają je ci szczęśliwi, którzy podchodzili w górach rykające[1]) jelenie, ale wszyscy inni, czyż z opisu choćby najbardziej barwnego i dokładnego mogą te wrażenia pojąć i niemi się przejąć, czyż mogą mieć choć w przybliżeniu pojęcie o tym czarze przyrody, uroku gór, majestacie dziewiczych kniei, tej wiecznej, tajemniczej ciszy, którą tylko pan tych gór i lasów przerywać się odważa! Uroku i potęgi tego głosu opisać nie podobna, tak jak niemożliwem tłómaczenie tej czarodziejskiej siły i tego wpływu ryku jelenia na myśliwego.

Dn. 17. września wieczorem, dojeżdżamy we dwójkę furkami z Krechowic do Kuźmińca, ślicznego pałacyku myśliwskiego J. E. Namiestnika hr. A. Potockiego. Pobereźnicy czekają na nas i każdy raport swój składa, niezbyt pomyślny: jeleni wprawdzie dużo, lecz zbyt sucho i gorąco, jeszcze za wcześnie, rykowiska prawie niema, byki tylko pomrukują. Byle deszcz spadł, za parę dni rykać będą lepiej.

Następnego dnia wyjeżdżamy o 11-ej rano, każdy w inną stronę; mnie w udziele przypadł rewir Borewka; towarzyszy mi Wasyl, arcy-przebiegły i doświadczony

---

[1]) Sądzę, że ryk jelenia odrębny czasownik mieć powinien. Bydło ryczy — jeleń zaś r y k a (ryk, rykowisko, zrykany, a nie ryczenie, lub zryczany). Górale używają najczęściej wyrażenia „rykać".

pobereźnik. Pogoda wspaniała. Na szczycie Borewki dwa byki pomrukują; podchodzimy jednego na zrębie i na odległość 200 kroków rozpoznaję ósmaka w towarzystwie szóstaka i trzech łań. Ósmak porykuje prawie w ucho szóstaka, który spokojnie skubie trawę. Patryarchalny ten stosunek rodzinny strapił nas bardzo, snadź nie rychło głosić będzie starszy w rodzie, że on tylko jest panem i władcą haremu. O 9 ej wieczorem dochodzimy wreszcie do koliby; kilku góra'i wychyla się z poza wielkiego ognia, przy którym się grzeją, przekonawszy się jednak, że rogów nie niesiemy, kładą się nazad na ziemi i znikają jak duchy wśród dymu i płomieni. Iskry ulatują wysoko aż pod sklepienie prastarych buków i giną nad nimi, jak gdyby przerażone nagłym widokiem miryadów gwiazd na niebie. Noc cicha, pogodna i mroźna.

Zmęczony, otulony w futro radbym zasnąć jednak prędzej; trzask palącego się tuż przed kolibą drzewa do snu mnie kołysze, ale zasnąć długo nie mogę, bo hen z daleka dochodzi mnie od czasu do czasu głos tak pożątny i pożądany.

18-go rano podchodzę o świcie dwa byki słabo porykujące; góra stroma, teren bardzo trudny i uciążliwy, wiatr mam pomyślny. Podsunąłem się w gęstwinie na kroków 300, lecz nagle poczułem, że wiatr kierunek swój zmienił. W tej samej chwili zwietrzył mnie byk, piękny dwunastak i pomknął wraz z dwoma łaniami. Na gwałtowne naleganie mego Wasyla strzeliłem i zaraz po strzale nie umiałem sobie wytłómaczyć, po co i na co w tak trudnych i wcale nie myśliwskich warunkach strzelałem. Niestety byk zaznaczył, odbił się od łań i zatrzymując się co parę kroków zanurzył się gdzieś w złomach i gęstwinie. Wasyl pocieszył mnie, że byka tego jeszcze znajdzie i to pewnie po krukach, które nad padliną krakać będą.

W południe wybieram się na szczyt Borewki, na którym pono silny byk od kilku dni się odzywa. Przeprawa to ciężka, góra bardzo stroma i wysoka, zawalona złomami; przez gęstwinę przedzierać się trzeba, a dzień jak w lipcu upalny. Pod wpływem zmęczenia zapominam o rannej, niefortunnej przygodzie. Trapi mnie tylko cisza. Po drodze spotykam bardzo wiele slonek, jarząbków i kilka kur głuszców. O 3-ej stanąłem nareszcie na szczycie góry i spostrzegłem z daleka dwie łanie, które wolno odprowadzały wspaniałego czternastaka w kierunku zrębu. Krok w krok za niemi postępowałem przez dwie godziny i nareszcie zdołałem podejść rozrykanego już byka na kroków 200. W chwili, gdym broń podnosił, jeleń mnie zoczył i pomknął w górę, wspaniale przesadzając przez olbrzymie kamienie i złomy. I nie pouczony rannem doświadczeniem znów strzeliłem na wielką odległość i w cwale; tym razem jednak szczęśliwie. Czternastak o ślicznych wieńcach padł z dymem.

Nazajutrz rano cisza w całej okolicy, ani jeden byk się nie odezwał; podszedłem i to przypadkiem tylko jednego słabego dziesiątaka. Wieczorem tego dnia wracamy do Kuźmińca, gdzie dwóch nowych towarzyszów zastajemy.

Dnia 21-go około południa wyjeżdżam konno na wyznaczony mi rewir: Matachów, Matachiwczyk i Zapłatę. Po drodze nowy mój pobereźnik Michał wstrzymuje mego konia i obojętnie wskazuje na świeży trop niedźwiedzia. W pierwszej chwili widok taki elektryzuje, uspokajam się jednak rychło; wszak w czasie rykowiska, wśród tych szalonych złomów i gęstwin prawie nieprawdopodobnem byłoby spotkanie się na strzał z niedźwiedziem. Dzień następny przekonał mnie, że w tych czarownych kniejach kryją się najbardziej nieprawdopodobne przypadki i niespodzianki.

Rano dn. 22-go podchodzę dwa byki niefortunnie, bo za każdym razem nachodzę na łanie, które jak widety otaczają naokół swego pana. Po południu wychodzę na środek zrębu, za którym słyszę głos podobny do beczenia cielęcia. I po chwili spostrzegłem ze zdziwieniem wspaniałego byka, o ile dostrzedz mogłem, czternastaka. Byk schowany za pniakiem długo się w nas wpatrywał, zdawał się nie wierzyć, że to człowiek śmiał zakłócić ten wieczny spokój i wkroczyć w jego królestwo. Uszedł wreszcie ów tenor, a życie swemu głosowi zawdzięcza. W chwilę potem usłyszałem na przeciwległej górze potężny i niski w tonie ryk na pozór silnego byka. Po dwugodzinnym ciężkim marszu podszedłem go na 500 kroków i wtedy dopiero poznałem w nim słabego ósmaka. W krótkim więc czasie przekonałem się, jak omylnem i błędnem jest poznawanie wieku jeleni po wysokości tonu rykania. Przekonałem się również kilkakrotnie, że wyższy ton na początku ryku, a niższy przy końcu i przeciwnie nie dowodzi wcale starszego lub młodszego wieku jelenia; poznawanie możliwem jest tylko dla wprawnego ucha po sposobie, a nie po tonie, w jakim jeleń przy końcowym ustępie pomrukuje. Około 4-ej godz. po poł. zdecydowałem się wracać w kierunku koliby, oddalonej od nas o dwie godziny marszu. Po drodze podszedłem rykającego byka na 150 kroków i znów bezskutecznie, słaby to był bowiem dziesiątak. Po tylu całodziennych zawodach, z przewieszonym Mauserem z lunetą na ramieniu puściłem się płajem w kierunku koliby, poleciwszy wprzód Michałowi, by z 50 do 100 kroków za mną postępował. Przeszedłem właśnie potok, gdy nagle usłyszałem na dole stromej góry chrupnięcie gałęzi i coś czarnego przesunęło się między drzewami i złomami. Ledwiem zdołał zerwać expres z ramienia, gdym spostrzegł niedźwiedzia na kroków 180 przechodzącego wolno przez potok. W jednej chwili strzeliłem, niedźwiedź przodem cielska podskoczył, ryknął wściekle... i echem napełnił las cały. Ryk okropny, boleści, wściekłości, rozpaczy, poczem nawrócił i w szalonym galopie począł skośnie pod górę umykać. Zdołałem jeszcze raz przez lunetę strzelić, w chwili, gdy na 250 do 300 kroków ujrzałem go przeskakującego między gęstemi drzewami. Niedźwiedź głośno zaryczał, a potem żałośnie kilkakrotnie zawył. Z bijącem sercem pobiegłem na drugi strzał, poleciwszy mym dwom ludziom by się dla ostrożności nie rozchodzili i krok w krok za mną postępowali. Niebawem ujrzałem go martwego, leżącego między kłodami, około 100 kroków od miejsca, w którem po raz drugi do niego strzelałem. Stary to bardzo niedźwiedź (samiec), znany podobno w okolicy rozbójnik, zupełnie czarny z siwymi włosami na karku. Kły miał żółte i starte, zęby wyszczerbione. Żołądek pełen miał kamionek (gogodzów), suche dni to bowiem niedźwiedzi od chwili, gdy chudobę z połonin i lasu spędzono. Kule miał z dwóch stron w komorze i obie kule serce przeszyły. Nazajutrz rano, gdy ośmiu ludzi przez złomy i potoki wynosiło na noszach mego niedźwiedzia, długo krok w krok za nimi szedłem, wpatrzony rozkosznie w ten wspaniały w swej dzikości, fantastyczny orszak. Tego samego dnia rano ubiłem na 80 kroków rykającego, dość silnego dziesiątaka.

Dnia 24-go zjeżdżamy się znów w Kuźmińcu, nazajutrz zaś w południe wyruszam konno do wyznaczonego odległego rewiru suchodolskiego. Pod wieczór i cały

dzień następny bezskutecznie podchodzę, a raczej chodzę za dwoma dobrze rykającymi bykami, które jednakowoż o świcie wyprowadzają łanie przez wielkie gąszcze za granicę, ze zmierzchem zaś sprowadzają je nazad w mój rewir. Rano zatrzymywały się dopiero za granicą — wieczór, gdy ciemno już było zupełnie. Tę niemiłą pielgrzymkę tłómaczę tem, że miesiąc przedtem paszono w mym rewirze bydło i owce, jelenie więc tem niepokojone, przyzwyczaiły się na dzień przechodzić na drugą stronę góry, gdzie w obec braku pastwisk spokój miały zupełny.

Następnego dnia o świcie, udało mi się nareszcie podejść jednego z tych dwóch jeleni, grubego dwunastaka na kroków 180. Trzema kulami w komorę — po pierwszej bowiem runął, zerwał się jednak i począł szybko umykać — skróciłem równocześnie śpiew jego łabędzi i życie. Wieczorem tego dnia ubiłem na górze Komorak na kroków około 150 pięknego czternastaka. Ponieważ ponad wysokimi maliniakami tylko głowę i kark mu widziałem, strzeliłem w szyję; jeleń padł z dymem, wstał jednak w jednej chwili i pomimo, że łania szybko odbiegła, on, wolnym krokiem począł odchodzić, przystanął na szczycie góry i spokojnie na wszystkie rozglądał się strony. Stał tak czas dłuższy, bom z powodu zachodzącego za górą słońca odnaleść go nie mógł w lunecie. Nareszcie strzeliłem; jeleń rulował; pierwsza kula na wylot sam środek szyi przeszyła.

Dzień 28. września, ostatni z tych dni niezapomnianych, rozpoczął się niezbyt pomyślnie.

W całej okolicy ani jeden byk się rano nie odezwał, prawdopodobnie z powodu upału, który nam od samego rana dokucza. Do Kuźmińca pięć godzin mam konno, na południe więc dojeżdżam na pół drogi do granicy mego rewiru, gdzie dwa silne byki mają porykiwać. Około 3-ej po południu słyszę ich pięć i wszystkie po rannem dolce far niente widocznie wypoczęte, ciągłem rykaniem zdają się tryumfować z mego bliskiego wyjazdu. Podchodzę najbliższego na kłodami i głazami zawalonej, a malinami zarośniętej górze, łanie go jednak wciąż odprowadzają. Po dwóch godzinach takiego forsownego czołgania się naszedłem na parę kroków na łanie i w tej chwili usłyszałem oddalający się coraz bardziej wrzask, łamanie i tętęt uciekających jeleni. Gdy wszystko ucichło wyszedłem na wysoką kłodę, by ponad złomami rozejrzeć się jeszcze, gdy nagle towarzyszący mi Maciej, pobereźnik dobry, lecz znany z tego, że jeleni wabić nie umie, zagrał raz na muszli. W tej samej chwili usłyszałem potężny ryk jelenia, łamanie się i prawie równocześnie wyskoczył na kilkadziesiąt kroków odemnie kapitalny dziesiątak, o cofniętych, silnych i grubych wieńcach, które na sobie położył. I tak stał chwilę wspaniały, groźny, skrzącemi oczami w Macieja wpatrzony, urywanym rykiem rywala swego wyzywając. Wśród gęstwiny i zwieszających się gałęzi i z kłody, z której zesunąć się nie miałem już czasu, tylko głowę byka widziałem, więc mierząc w nią strzeliłem i jeleń, nie zdawszy sobie sprawy z naszego podstępu, runął w ogniu ugodzony w głowę.

Wieczorem robimy ogólny obrachunek; padło 14 jeleni: 3 czternastaki, 6 dwunastaków, 4 dziesiątaki i jeden ósmak. Wszystkie są łowne, większa część kapitalne. Prócz nich padł niedźwiedź, głuszec-kogut i słonka kulą ubita.

Pełni uroczych wspomnień i wdzięczności dla dostojnego gospodarza żegnamy dnia następnego te szczodre i gościnne knieje.

Edward Mycielski.

Rozhurcze.

Było to w listopadzie r. 1897, kiedy na polowaniu w Rozhurczu po raz pierwszy jelenie, a to łania z cielęciem, myśliwym się pokazały. Zapewne zbłądziły tu z rządowych lasów Polanicy, gdzie dzierżawca polowania, autor głośnego dzieła „Hodowca a myśliwy", hr. E. Sylva Taroucca, staranną opieką otacza jelenie. W roku 1898 widzieliśmy już w 3 miotach łanie, a w r. 1899 już porykiwały jelenie, lecz nie polowałem na nie. Zapewne do łań przyszły z gór, bo jeleń, a zwłaszcza stary jeleń i to w porze rykowiska, to włóczęga a przytem wygodniś, więc na naszem stryjskiem podgórzu o wiele mu lepiej, niż w głębokich górach. — Twierdzić to mogę stanowczo, a dowodem tego, że na polowaniach w czasie rykowiska padły w Rozhurczu przeważnie bardzo stare jelenie; natomiast polując w zimie z naganką, nigdy nie widzieliśmy jeleni, tylko łanie i drobiazg. — W Rozhurczu polują na jelenie tylko w porze rykowiska. Pierwszy jeleń padł 28. września 1900, a ubił go śp. brat mój Tadeusz — był to potężny czternastak, padł na pierwszym rannym podchodzie. W roku 1901 padło 8, zaś w roku 1902, 3 jelenie. — Najpiękniejszy rezultat dał rok bieżący, bo 11 jeleni. — Razem więc padło w 4 latach 23 jeleni, a to 3 szesnastaki, 8 czternastaków, 9 dwunastaków, 2 dziesiątaki a 1 ósmak.

Dziś opuszczam kolebę, z którą tyle drogich wspomnień mnie łączy — gdzie w pracy wytchnienie, dla pasyi myśliwskiej biesiadę, a dla zdrowia pokrzepienie znajduję. O nędzne jej ściany stoi dziś wspartych 8 wieńców królewskiego zwierza, które od kul mego Manlichera padły. Mój tropiciel Popowicz, świadek najszczytniejszych mych chwil myśliwskich w życiu, słusznie indyaninem zwany, o wzroku sokolim a przebiegłości lisiej, czyści zawzięcie przy ognisku przed kalebą Manlichera mówiąc, że dobrze czyścić go trzeba, kiedy nam żaden jeleń więcej jak 200 kroków od strzału nie uszedł. Czem perły w morzu, tem jeleń w Karpatach, wspaniały, pewny siebie w swoich borach, poważnie krocząc szuka potężnym rykiem po dzikich i uroczych parowach bogdanki i rywala, gotów do walki, pomny na to, że zwycięzcę czeka miłość. — Smutek nieznany mnie ogarnia, gdy ten iście królewski, majestatyczny zwierz legnie na ożynach wśród pereł rosy, przy chłodnym pogodnym przepięknej naszej jesieni poranku. — Wtedy to miło wśród tej ciszy leśnej, przerywanej chyba stukotem naszego kowacza leśnego, lub odlatującym kluczem gęsi, odetchnąć swobodnie zdala od świata, podumać trochę, a może i zadać sobie pytanie, czy miałem prawo życie mu odbierać.

W. B.

Rykowisko pod Spałą.

Spała, to jak wiadomo ogromne rewiry cesarza rosyjskiego, gdzie stan jeleni liczy się na tysiące. Jelenie te mniejsze są od naszych górali, tak co do ciała, jak co do wieńców i o dziwo, mimo tego, że żyją dziko, nieogrodzone, są tak łaskawe, że podjechać się dają na bliską bardzo odległość, nie zrywając się nawet, gdy leżą. Widziałem kilkanaście stad i uderzyło mnie to, że łanie leżące ignorują podjeżdżających, byki zaś tak słabsze, jak grubsze, kładą głowę na ziemi, wyciągając szyję, jakby warowały. W zimie karmią tam jelenie i poży-

wienie ich kosztuje ładną sumkę, bo 80,000 rubli. Jak wspomniałem jelenie spalskie są nieogrodzone, gdzie więc mogą, to ciągną w pola nocami i szkody robią straszne, szczególniej w kartoflach i seradelach, bo wychodzą stadami ogromnemi. Widzi się wprawdzie płoty pod lasami, ciągnące się czasami i wiorstę, lecz to są ogrodzenia służące do ochrony ziemiopłodów lub kultur, któreby się bez tego nie ostały. Lasy są przeważnie sosnowe, przejrzyste, bez podszycia, tu i ówdzie smukłe, duże jałowe, to znów kępa brzeziny, gdzieniegdzie świerk, a na rzadkich moczarach olszyna, cała jednak ta knieja, jaką ja widziałem, to laski dość monotonne, które w porównaniu z naszemi kniejami górskiemi nie wytrzymują porównania. Sosna i sosna, płaszczyzna i płaszczyzna. Jelenie te dziwnie są mądre, bo o ile w Spale są zupełnie nie bojaźliwe, jakby oswojone, o tyle w majątkach przyległych są dzikie i niesłychanie ostrożne, a szczególniej boją się ludzi spieszonych, tak, jakby wiedziały, że tam mają spokój i ochronę, a tu prześladowane są na każdym kroku. Przypatrzyć się jeleniom i używać oczyma można tam bajecznie, bo w tej liczbie i z tak bliska, jeleni jeszcze nie widziałem. Na drogach piaskowych tropów tysiące, a stada po trzydzieści i więcej sztuk wcale nie należą do rzadkości. Prócz jeleni są i daniele, trochę sarn i dużo dzików.

W majątku . . . . ., leżącym pod Spałą i graniczącym z nią bezpośrednio, gdzie polowałem, prócz dość dużego obszaru lasów, znajduje się tuż przy granicy ogromna przestrzeń goła, wyrąb kilkudziesięciomorgowy, na którym prócz pojedyńczych dużych sosen tu i ówdzie, są malutkie jałowce, tak, że na zrębie o podchodzeniu jeleni i mowy być nie może. Ta gołaźń, ten główny punkt operacyi myśliwskich, odgraniczona jest od lasu cesarskiego rowem, wałem i kopcami granicznymi, na wale zaś widzieć można o każdej prawie porze gajowych spalskich, w mundurach z bronią, bardzo grzecznych, ale niewzruszonych. Przez ten to rów i wał przechodzą jelenie nocą stadami na gołaźń, stamtąd zaś na pola, na kartofle i marchew, a wczesnym bardzo rankiem powracają do Spały. Mały tylko procent, zazwyczaj łanie i mniejsze byczki zatrzymują się w . . . . . . Strzela się do jeleni, siedząc w wale granicznym, a strzelać trzeba dobrze i śmiertelnie, bo jeżeli przejdzie przez wał, podnieść go nie wolno. Pertraktacye o jelenia, tylko o jego wieniec, z gajowym cesarskim spełzły mi niestety na niczem, dlatego utrzymuję, że straż ta jest niewzruszona. Sposoby polowania na jelenie tamtejsze były mi zupełną nowością, pozwól więc czytelniku szanowny, że podzielę się choć krótko wrażeniami z nich.

Wyjechawszy w nocy po ciemku do lasu, przybyliśmy wkrótce na jakąś drogę, gdzie oczekiwało nas dwóch gajowych z psami. Umieściwszy i ludzi i psy na bryczce ruszyliśmy ku gołaźni, zdala zaś dochodziły nas odgłosy ryczących. Wreszcie stanęliśmy u celu, psy zostały na wózku, my zaś ruszyliśmy we czterech ku gołaźni po granicy. Uszedłszy ze sto kroków, towarzysz mój zatrzymał się i rzekł mi, że teraz będzie strzelał. Jeszczem się nie połapał i nie ochłonął z tego niespodziewanego zupełnie projektu, gdy kilka wystrzałów z rewolweru błysło w ciemności i hukiem przeraziło ciszę nocną, lecz także i jelenie, bo ryczeć przestały. Ma to być sposób, by jelenie od granicy odstraszyć, żeby je zmusić do zatrzymania na gołaźni. Ruszyliśmy dalej, gajowi pozostali na swych posterunkach, ja zaś dostałem moje stanowisko w rowie przy kopcu, na którym się położyłem. — Ciemno jeszcze było zupełnie, gdy usłyszałem koło siebie niedaleko tupotanie, za chwilę zaś już na Spalskiem za sobą, — oczywiście więc rudel jeden wyniósł się do siebie. Dzień powoli się robił, zaczęło szarzeć, a za mną jelenie poczęły rykowisko na nowo, przedemną zaś na odległość 300 kroków snuły się powoli jakieś postacie, rzędem jedna za drugą. Były to jelenie, które ciągnęły do swojej postoi, zbliżając się powoli do rowu. Rozwidniało się, słomka przeleciała mi nad głową, ciągnąc gdzieś na żer, zdala odzywały się kaczki a przedemną przesuwało się stado jeleni złożone z 19 sztuk, w którem trzy byki z niewielkimi wieńcami; nie na strzał.

Szły one powoli, to przystawały, rozpatrując się, inne skubiąc coś po ziemi, jakby niezdecydowane, co mają zrobić, jasno już zupełnie, aż wreszcie udały się w stronę, gdzie gajowy został, który je odpędził od wału, wtedy jednak cwałem posunęły w róg przeciwny nieobsadzony i poszły do Spały. Widok przepyszny! Tam słychać było wesoło, bo rykowisko w pełnym toku, głosy grubsze i cieńsze, przeciągłe i krótkie urywane, dalsze i bliższe rywalizowały wśród ciszy porannej. Widziałem jeszcze stadko jeleni z daleka, które mimo tego, że gajowi zabiegali, mimo tego, że niżej, a raczej dalej konie nasze kłusem patrolowały od granicy tam i napowrót, przebiły się do lasu za wał. Na tem zakończył się pierwszy rodzaj polowania. Zaczęliśmy podjeżdżać po lesie, ale nigdzie jeleni widać nie było. W bryce woziliśmy trzy psy, które pierwotnie myślałem, że są jako tropowce potrzebne. Bukiet może i miał trochę krwi tropowców w żyłach, za to Sygnet i Brylant, ten ostatni biały w czarne łaty, kudłaty z uszami stojącemi do góry, tamten czarny, były najzwyczajniejszymi kundlami wiejskimi. Po podjeździe przystąpiliśmy do zakładów. Stanęliśmy na stanowiskach, gajowi zaś obszedłszy do koła puścili pieski i powoli zbliżali się ku nam. Wybiegł na mnie widlak w susach ogromnych, widok przepiękny, wkrótce zaś potem łania kłusem. Duża, stara ta sztuka, podawszy głowę w tył, z karkiem prostym, skurczonym, kłusowała sobie swobodnie, oglądając się na psa, który cicho za nią zdążał, co mógł, na jakich 60 kroków zostając.

Przeszła przez wodę i za wzniesieniem zginęła; widok tej łani był nieestetyczny, a ona wprost brzydka.

Nazajutrz wyjechałem przed trzecią z rana z domu. Ciemno i czarno było dokoła, mgła gęsta do tego stopnia, że zabłądziliśmy jadąc do lasu, a dopiero moja latarnia „ever ready“, zawsze w kieszeni na tych wyprawach, sprawiła, żeśmy na drogę właściwą zjechali. Tu zastałem leśnych i ruszyliśmy z nimi dalej, wraz z nieodstępnymi psami. Na gołaźni jeleń ryczał bez przestanku, aż serce się radowało. Cicho poszedłem na stanowisko, a jeleń rycząc zbliżał się ku mnie; wtórowały mu inne za granicą. Mgła jednak ciągle jeszcze wisiała przedemną, zakrywając dalszy widok, mimo tego, że już dniało. Wreszcie ujrzałem go przed sobą i choć nie blisko, mogłem strzał umieścić. Zdawał mi się ogromny i potężny, wieniec wspaniały, a w tej mgle po dwakroć większy. Po strzale 26 łań w pełnym pędzie przedefilowało do Spały i to był również widok przepyszny. Poszły w żałobie, bo same. Stary ten ośmnastak nie znosił żadnego byka w swojem stadzie i był sułtanem w haremie. Ryczą tam wogóle tylko większe byki, starsze, młodsze zaś milczą. W rudlach, gdzie byków jest więcej, są one średnie i mniejsze, gdzie zaś byk starszy i grubszy, tam drugich nie ma i taki zazwyczaj

ryczy. Był to przypadkiem jeden z grubszych jeleni tamtejszych, drugiego takiego nie widziałem. W pół godziny później, nie ruszałem się z mego stanowiska, choć zmarzłem straszliwie, a dopiero widok i strzał mnie zagrzały, oczom wierzyć nie chcę, idzie ku mnie drugie stado. Na czele łania, za nią druga z cielęciem, potem trzy byki, z których trzeci największe ma rogi, a dalej sznur długi łań. Strzeliłem do trzeciego, spiął się po strzale, wszystkie zawróciły i pędem pobiegły na gołaźń, po jakich 200 krokach stanęły, zbiwszy się w kupę, a było ich ze 30, następnie poszły ku polom. Uszczęśliwiony byłem, bo pewien prawie, że tego jelenia także dostanę. Los jednak inaczej przeznaczył. Jelenie koło pól zakręciły do lasu, a postrzałek upadł na polu. Chłop, który pracował tam od rana, zobaczywszy to, podbiegł nie wiem w jakich celach i ruszył jelenia, który wszedł do kniei, ale jeszcze na naszem i tam się położył. Nie dosyć było, raz go ruszył, podbiegł za nim, znów go spędził i jeleń znacząc ciemną farbą drogę, przeszedł za granicę. Gajowy cesarski go podniósł i choć pragnąłem tylko wieniec otrzymać, prócz grzecznego oświadczenia, że się to nie da, dowiedziałem się, że dwunastak, ale nieszczególny. Stąd twierdzę, że gajowi spalscy są niewzruszeni.

Trzecie stado jeszcze widziałem tego ranka, małe z 6 sztuk złożone, łania z cielętami, które bardzo blisko koło mnie przeszły. Ciekawe niesłychanie to to, że gdy jelenie dochodzą do wału, a klasnąć w dłonie, odwracają się od lasu i pędzą na gołaźń. Doświadczenia na tem polu zrobiłem. Jednego ranka duże stado łań z cielętami i małymi bykami — małe zowią te, które mają małe rogi — szło galopem prosto na wał. Gdy już część większa wpadła do lasu, klasnąłem w dłonie. Dwie łanie z cielętami stanęły przypatrując się w moją stronę, reszta pierzchnęła za granicę. Klasnąłem drugi raz, obróciły się i mimo, że stado ich poszło do lasu, pierzchły w przeciwną stronę, na gołaźń.

Przed psami miałem kilka razy spotkanie z jeleniami, raz nawet obsypały mnie, jak to powiadają, na kilka zaledwie kroków; były to same łanie z progeniturą.

Gajowi tamtejsi znają knieję doskonale i stawiają wybornie, szczególniej jeden Józef, który musi być dobry myśliwy.

Jednego ranka po zasiadce, siadam na brykę, ostatniego, zdaje mi się, wtem Józef widzi w podrostkach za gołaźnią jelenia. Patrzę przez szkło i poznaję byka z 2 łaniami, równocześnie o 100 kroków dalej odkrywam drugie stadko równie z bykiem, który jest większy. Co robić, podjechać? Ruszyliśmy tedy, a że gajowy drugi zdążał tamtą stroną do punktu, z którego rozpocząć mieliśmy zakład z psami, poszedł wprost na jelenie, które też wkrótce ruszyły cwałem z miejsca i nagle widzę na sztych ku nam pędzą 2 byki, łania i cielę, a reszta poszła w inną stronę. Zeskoczyłem z bryki i niestety zgorączkowałem, chybiłem na 120 kroków, prawda w pełnym pędzie, ale na jasnem, strzał był nietrudny. — Okropnie sobie ten strzał wyrzucałem, bo pospieszyłem się i szneler prócz tego miałem naciągnięty, spodziewając się, że jelenia lada chwila zasztorcuję i wtedy strzelę do stojącego, one tymczasem wykręciły i poszły w lewo, pędząc równolegle do wózka, który chciał im drogę zajechać. Widok ten był wspaniały, na przedzie szła łania, potem byk większy, potem cielę, w końcu byk drugi mniejszy. Wszystko to na gołaźni!

Przez cały mój pobyt napatrzyłem się na jelenie jak nigdy! a dusza moja myśliwska użyła w całem tego słowa znaczeniu. Szczególniej z rana, gdy z początku znaczą się na firmamencie blado-różowym, głowy tylko to łań, to byków i sylwetki te przesuwają się powoli przed oczami, widok to czarujący! Dla porównania wielkości, niech służy data, że głowa jelenia tamtejszego mierzona od góry między guzami do końca nosa, ma cm. 34, a nasz góral ma ich 38, reszta proporcyi w tym samym stosunku dowodzi, że jeleń tamtejszy jest mniejszy, w przodzie zaś nie tak wysoki, jak król karpacki. Waga wieńców jeleni grubych jest 4 i $4^1/_2$ kg., a nasze mają 10, 9, 8. — Za to ilość ich jest tam imponująca.

A. S.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie zdołaliśmy dobiedz do brzegu i skręcić na prawo, gdy tuż za nami ukazał się słoń i w szalonym pędzie skoczył do wody. Wygląda straszliwie. Brodzi po błocie, rycząc i sapiąc. Wietrzy nas, ucieczka nasza w bok i ten zwrot nagły zmyliły go. Korzystając z tego, zaszyliśmy się w zarośla i czekamy, co będzie dalej. Jeśli się ruszymy, spostrzeże nas! A wtedy...

Idzie... zbliża się... patrzy w naszą stronę. Oho! zobaczy nas! Co robić? Chyba strzelać. Mam jeszcze w ręce mój kaliber ósmy nabity. Palę... kula chybia serce i rani zwierza w łopatkę. Rana zadana zdwaja tylko jego wściekłość; zwraca się teraz wprost i pędzi na nas. Tym razem dym nas zdradził. Jeśli na nas wpadnie, niepodobieństwo umknąć wśród gąszczu. Zatem raz jeszcze ognia! Kula moja, przeleciawszy pod zwiniętą trąbą, utkwiła w piersiach. Zwierzę zatrzymuje się oszołomione. Raniłem je śmiertelnie.

Nigdy już potem nie mogłem tak dobrze śledzić całego przebiegu konania, jak tym razem. Biedne zwierzę! Stoi tam na brzegu o jakich 8 metrów od nas w pełnym słonecznym blasku; woda rzeki lekko zabarwia się krwią. Przyglądamy się w milczeniu, jak życie ucieka z każdą chwilą. Robi szybko bokami, siłą ją opuszczają, krew ścieka strumieniem z piersi i łopatki; porusza pyskiem kilkakrotnie, wargi jej drżą, a wielkie łzy ciekną z oczu. Biedna samica, zwiesiła trąbę nizko, łeb opuściwszy, zachwiała się w prawą, lewą stronę i runęła, bryzgając krwią dokoła. Koniec.

Widok taki wystarcza, aby w sercu najbardziej zapalonego strzelca zbudzić wyrzuty sumienia. Mam to uczucie, że zrobiłem coś bardzo złego.

Nieraz sobie powtarzałem, widząc cierpienia tych przepysznych zwierząt, że powinienem raz na zawsze powiesić swoją strzelbę w zbrojowni, a dalszym polowaniom dać pokój. Pociesza mnie to jedynie, że tym razem zwierz sam wywołał strzał śmiertelny swoim na nas napadem, bo Bogiem a prawdą, gdybym był nie miał dubeltówki, lecz pojedynkę, bylibyśmy może wszyscy zginęli okropną śmiercią, gdyż o powtórnem nabijaniu strzelby i mowy być nie mogło.

To jeszcze szczęście dla nas, że drugim razem nie spudłowałem.

W takich strasznych chwilach nie wiadomo, co najpierw czynić: czy skryć się, czy uciekać, czy stać w miejscu; wszystkie manewry są równie niebezpieczne.

A potykać się ze słoniem bez innej broni, prócz kolby, to dziękuję!

Trzeba zawsze się wystrzegać wśród stada słoni samicy, która karmi małe, szczególniej zaś samicy bez kłów, bo one prawie zawsze na odgłos strzału napadają pierwsze na człowieka.

Myślałem i pamiętałem dobrze o tem, skoro wchodziliśmy w chaszcze, ale potem stary samiec skupił całą moją uwagę, musiałem manewrować bronią, strzelać, dość, że zupełnie zapomniałem o tem, że samica może się znajdować o parę kroków od nas. Tak też było, chociaż ona ostatnia wchodziła w gąszcze. Jak tylko samica padła martwa, pomyśleliśmy o pierwszej mojej ofierze. Należało zobaczyć, jaki był rezultat mego strzału, a raczej dwóch strzałów, bo obydwie kule wpakowałem w łeb samcowi.

Lecz przychodzi mi inna myśl do głowy; może tu gdzie w pobliżu krąży mały słoń, szukając matki. Stare wiem napewno, że już dawno pierzchły. Uwaga moja zdaje się być słuszną, należy uczynić przygotowania, aby go złowić. Liście z palm wachlarzowców dadzą nam mocne włókna do ukręcenia sznura.

Posyłam ludzi, aby nacięli ich sporą ilość, nakazując im, aby się cicho sprawowali i szli brzegiem, omijając chaszcze. Nie należy płoszyć małego słonia.

W chwilę potem, gdy ludzie moi oddalili się, słyszę najwyraźniej za mną chrzęst łamanych gałęzi. Jakieś zwierzę się zbliża. To on! mój mały słoń. Widzę go doskonale. Przybiegł nad sam brzeg rzeki i zatrzymał się nad zwłokami matki.

Wygląd jego jest dość dziwny, powiem nawet, zabawny, skóra, pokrywająca jego ciało, zdaje się być za obszerna na niego, marszczy się wszędzie w wielkie fałdy. Uszy ma większe niż potrzeba, a trąba w nieustannym ruchu zatacza dziwne koła w powietrzu. Po obu stronach pyska rosną dwa wyrostki białe, wielkości palca, to projekt na przyszłe kły. W całem jego zachowaniu jest coś komicznego, a fizyognomia wyraża wesołość i spryt.

Nie rozumiejąc, dlaczego matka leży tak bez ruchu na piasku, podchodzi bliżej, wreszcie włazi w rzekę, nabiera w trąbę wody i pryska nią wokolo, potem zaś rzuca piaskiem i żwirem, jednem słowem, figle go się trzymają. Dwa, czy trzy krokodyle, znęcone zapachem krwi, wynurzyły z wody swe olbrzymie cielska i patrzą. Żeby tylko małemu nie zrobiły co złego. Możeby się pokazać? Ale jak on mnie przyjmie, a nuż się przerazi i umknie.

Na szczęście, ludzie i strzelcy ukazują się z powrotem i zatrzymawszy się w pewnem oddaleniu za krzewami, kręcą sznur.

Trzeba jednak raz z tem skończyć.

Zakwiliłem, jak jastrząb.

Na ten znak umówiony jeden z mych ludzi nadbiegł.

Młody słoń widział go doskonale, patrzył na niego nawet z pewnem zajęciem, lecz nie uciekał; jest jeszcze młody i głupiutki, a zresztą nie zwęszył nas zapewne.

Korzystam z tego i wychodzę z kryjówki, przechadzam się czas jakiś po brzegu, zawsze pod wiatr, a potem siadam sobie opodal na piasku, aby nie przestraszyć zwierzęcia.

Czekam, co dalej będzie. Mały słoń popatrzył na mnie chwilę, podniósł trąbę dla złapania wiatru, nastroszył uszy i po namyśle odwrócił się do mnie tyłem, wracając do przerwanej zabawy. Sznur nareszcie skończony.

Zaczynają się próby łapania. Musimy się niemało napocić, bo młodziutki słoń kręci głową na wszystkie strony i fika łapami; takiego fiknięcia należy unikać, bo równa się ono uderzeniu końskiego kopyta. Z jego strony to tylko niewinne figle.

W końcu jednak udało nam się oplątać mu sznur około szyi i łapy i przywiązaliśmy go do drzewa.

Posyłam czemprędzej do obozu po mleko zgęszczone i po kilku ludzi do pomocy, sami zaś udajemy się na poszukiwania pierwszego słonia.

Zagłębiamy się ostrożnie w gąszczach i rozpatrujemy naokoło. Między dwoma krzewami leży moja ofiara rozciągnięta, martwa. W skroni widnieją tylko dwa otwory, małe, okrągłe, a z nich cienkim strumykiem spływa krew. Szare cielsko leży nieruchome, od pyska zwieszają mu się dwa kły przepyszne.

Piękny strzał, ani słowa. Nie zawsze udawało się trafić zwierza tak doskonale w sam łeb, chybiałem często, a dobry strzał, to moja słaba strona. Możnaby napisać całą rozprawę i rozwinąć cały system o tem, jak należy strzelać, aby kula trafiła prosto w łeb i obiecuję sobie kiedyś powrócić do tego, w następnych rozdziałach.

To polowanie było świetnem zakończeniem seryi deszczowej, śmiało można powiedzieć, że było ostatnie, bo już żadne nam się tak nie udało. Co prawda, spotkaliśmy się znów ze słońmi nie nos w nos, lecz nosem w trąbę, a jak się rzecz miała, zaraz opowiem.

Już późnym rankiem na wzgórzu nieopodal od obozu znaleźliśmy liczne tropy słoni. Puszczamy się w pogoń. Ledwie około czwartej godziny po południu doganiamy ich, zrobiwszy blizko 35 kilometrów drogi.

Kraj, gdzieśmy się zapędzili, jest zupełnie różny od okolicy, w której przebywaliśmy dotąd. Jest to prawdziwe morze traw i ziół, gdzie mocą prawie trzeba się przedzierać przez ostre trawy.

Słonie muszą być tuż, bo ludzie moi znaleźli świeże ślady. Jesteśmy ukryci w trzcinach i trawach, w których słonie w liczbie 10-ciu lub więcej wydeptały ścieżki równoległe. Postępujemy w gąszczach zupełnie po omacku. Wiatr jest zły, bo wieje z boku. Nagle słyszymy zdala jakiś ryk, zrazu słaby, potem donośny; tuż obok odpowiada mu drugi, podobny. Potężne ryki i jakieś dziwne dźwięki, podobne do bulkotania gotującej się wody, powtarzają się ciągle. Czy to jest specyalny język, którym się słonie porozumiewają? Nie wiem, wiem tylko, że słyszeć go można jedynie, znajdując się blizko zwierząt.

Jesteśmy więc osaczeni.

Wdrapuję się na plecy Rodzaniego, by lepiej zobaczyć, co się naokół dzieje; ledwie wyjrzałem nad powierzchnię traw, zeskakuję z szybkością błyskawiczną.

— *Sapristi*, do licha, uciekajmy. Jesteśmy za blizko. Zwęszyły nas..

Już był wielki czas, bo słonie biegały tu i tam, węsząc. Umykamy więc co sił starczy, bo lada chwila możemy zginąć pod racicami olbrzymów. Być tuż przy stadzie słoni i nie zabić żadnego, to dla myśliwych wstyd wielki, lepiej powiem, że nietylko nie zabiliśmy żadnego, ale nawet, będąc o kilkanaście kroków od nich, prócz ich szarych grzbietów, nic więcej nie widzieliśmy.

I przeczyć tu, że matka natura nie kryje swych dzieci przed niebezpieczeństwem? Nietylko kryje, ale osłania przed wzrokiem ludzkim gęstwiną traw i zarośli. Ich szare grzbiety mieszają się i zlewają w jedną harmonijną całość z lianami i pniami drzew, tak, że niepodobieństwem jest je rozróżnić.

W dzisiejszej naszej wycieczce zdradziły nas znów te suche trawy, szeleszczące za lada poruszeniem. Hałas ten zbudził czujność słoni, a nas o mały włos o śmierć nie przyprawił. Krajowcy nazywają te trawy *tszigonankondo*, to znaczy: „gdzie śpią wojownicy“ w obawie przed nieprzyjacielem.

Pod nazwą „morze traw“ nie należy sobie przedstawiać płaskiej równiny, porosłej jednym li tylko gatunkiem trawy; byłoby to ujmą krasy dla bogactwa roślinności tych okolic.

Rozmaitość traw tutejszych jest wprost nadzwyczajna, a myśliwy musi znać każdy jej rodzaj, aby wiedzieć, jakie mu śród łowów szykuje niespodzianki i zdrady. A więc trawa *asandje*, równie jak *tszigonankondo*, czyni szelest, który daje się słyszeć na znacznej odległości. Wysokością swoją nie przewyższa człowieka, rozpoznać w niej tropy świeże, czy dawne, bardzo trudno. Trawa *niumbo* [1]), którą dzicy pokrywają swe chaty, wyrasta wysoko, lecz jest mniej hałaśliwą, niż jej poprzedniczka; *kadiambidzi*, o łodydze cienkiej i długiej, rośnie gdzieniegdzie kępkami wysokiemi na dwie stopy; *tszekera*, czy *tszipeta*, ma łodygę grubości palca, wysoką na ośm stóp; rośnie na miejscach wilgotnych, jest zupełnie niepalna. Trawa *sonte*, o źdźble i liściach krótkich, szerokich i ostrych, stanowi ulubione pożywienie bawołów. *Ruba*, mała, czerwonawa trawka, rośnie najczęściej po lasach, na gruntach piaszczystych. *Nsidzi* pozostawia w ubraniu i ciele człowieka masę małych kosmatych kolców, które sprawiają ból nieznośny, wyjmuje się je jak drzazgi z trudnością. *Sincotsze* jestto trawa poszukiwana przez antylopy. I wiele, wiele innych traw i ziół, ktore myśliwy poznaje, brodząc po lasach i równinach.

Wracajmy jednak do naszego małego słonia.

Po trzech, czy czterech dniach pobytu oswoił się zupełnie i biegał za ludźmi, jak pies. Dziennie dla wyżywienia potrzebował ośmiu puszek zgęszczonego mleka, to liczba, jak dla mnie, zastraszająca; zapas wyczerpywał się szybko. Posłałem do głównych naszych składów po nowy transport puszek.

W oczekiwaniu przeszło przez dni dziesięć, chciałem kupić u Mpesenów krowę i nareszcie po zwalczeniu mnóstwa trudności, zdobyłem ją, lecz już, niestety, za późno!

Próbowałem przez ten czas karmić słonia gałkami z ciasta, ale nie chciał jeść; potem dawałem mu siekaną gałkę, ale i ta mu nie służyła, wreszcie karmiłem go ekstraktem mięsnym Liebiga, sucharami, mąką i sam nie wiem już czem. Wogóle wszystkiem, co mogło mu przejść przez gardło, lecz mleka matczynego nic zastąpić nie mogło i biedne zwierzę nikło w oczach.

Miał już zapalenie kiszek w chwili, gdyśmy go złapali, i wszystkie leki nie pomogły. Ku ogólnemu zmartwieniu skończył jednej nocy, przebywszy z nami dwanaście dni. Był bardzo pojętny, już zaczynał nawet rozumieć, jak ludzie wołali na niego *ndjovo* (słoń) i przychodził do ręki.

[1]) Stąd pochodzi nazwa chat krajowców *niumba*.

Próbowaliśmy już nieraz z Bertrandem chować różne zwierzęta, nie szczędząc starań, wszystko napróżno; prócz małp, które utrzymywały się doskonale, inne zwierzęta zdychały. W ten sposób straciliśmy dwie zebry, antylopę, zeedbucksy, blue bucksa, lwy, dzikie koty i inne. Zawsze jakiś fatalny wypadek stawał się powodem ich śmierci. A mnie się zdaje, że głównie szkodziły im niewygody podróży, zmęczenie, ciągłe marsze uciążliwe, wogóle życie koczownicze, jakie prowadzimy. Zwierzęta potrzebują spokoju i starania.

Jak tylko ukończyliśmy oprawianie i ćwiartowanie słoni, opuściliśmy natychmiast obozowisko nad Luyą.

Trzeba było poszukać przed porą wielkich pożarów i zniszczenia bezpieczniejszego schroniska, a mianowicie okolicy mniej zarosłej. Po namyśle zamierzałem udać się na północ Makangi, w lasy mistagnasów (mopanes), gdzie rosną niskie trawy ruba, (o których wyżej wspominałem), tam zwierzyna wszelkiego rodzaju przebywa chętnie i można polować dniem i nocą.

Prócz tego, ciągnęła mnie jeszcze chętka upolowania niektórych zwierząt z rodziny gryzoniów, zamieszkujących lasy. Miałem więc doskonałą sposobność dopełnienia mego muzeum.

Ruszajmy w drogę nim nastanie susza, umykajmy przed strasznym żywiołem zniszczenia!

Już w roku 1895 starałem się naokół po różnych krainach o psy odważne, sprytne, i zdatne do polowania. Naznaczyłem nawet wysoką nagrodę za nalepsze psy myśliwskie. Może to zachęci czarnych krajowców do przyprowadzenia mi dobrych okazów psiego rodu.

Mieszkańcy Makanga, Magandja i innych krain, leżących w tym pasie, już od dawien dawna posługiwali się psami w polowaniach na aguty, rodzaj myszy afrykańskich, a nawet i na dziki.

Pierwsze pożary traw dają hasło do tępienia mysiego rodu. Psy puszczone wyszukują zwierzęta w kryjówkach, wypłaszają, a krajowcy strzelają do nich z łuków i zabijają masami.

Sport ten jest niezmiernie przez ludność tutejszą lubiany. Najpierw, że polowanie samo przez się jest przyjemną rozrywką, a powtóre, że mięso tszenzi jest nadzwyczaj smaczne.

Pies tutejszy jest mały; pysk ma długi z typu kabyle i usze sterczące. Chętnie goni aguty, bo to dla nie go nie praca, chyba raczej zabawka.

Polowanie na dziki jest trudniejsze, psy muszą się dobrze napocić nim zwierza ułowią, skacząc mu do boków i czepiając się uszu; to też rzadko gdzie spotkać można psy zdatne do takich łowów, a jeszcze trudniej o takie, co umieją wytropić antylopę. Za dostarczenie dwóch ostatnich gatunków naznaczyłem nagrody. Przyprowadzono mi kilkanaście; po wielu próbach, wybrałem z nich niektóre osobniki, resztę zaś odesłałem z powrotem. Jestem więc szczęśliwym posiadaczem czterech psów; podobno mają to być nadzwyczajne okazy. Jak się jednak sprawiała moja psiarnia, zobaczymy poniżej. Daleko im było, co prawda, do psów Afryki południowej, które, mówiąc nawiasem, są znakomite, ale liczę na to, że cierpliwością i pracą wiele można będzie zrobić, i może moje piękne projekty choć w części się ziszczą. W tropieniu rannej antylopy psy sprawowały się dobrze, co prawda nie wymagałem tego od nich, bo ludzie moi tropią zwierza doskonale. Z drugiej strony była jedna niewygoda, że psy często szczekały i skowyczały, co zdradzało naszą obecność.

Wymagałem od nich jednej rzeczy, aby sprawiając się cicho, szły w trawach przed nami i jeśli nie wystawią zwierzyny, to chociaż ranioną niech wytropią.

Poświęciłem nauce dużo czasu, cierpliwość moja przeszła ciężkie próby — nareszcie nadszedł czas, kiedy praca moja musiała wydać korzystne owoce. Pięciu strzelców i cztery psy stanowią przyzwoitą drużynę. Niestety przekonamy się, jaki srogi zawód mnie spotkał.

Żegnajcie świetne projekty, żegnajcie nieziszczone marzenia: psy moje mogły stanowić jedynie ozdobę obozu, nic więcej.

Po dwugodzinnych pochodach w trawach powyciągały języki, zwiesiły łby i trzeba było ciągle je poić. Musieliśmy brać specyalnego dla nich nosiwodę, a to chyba w myśliwskich wyprawach dodatek zbyteczny. To jeszcze mniejsza, ale to, co się później stało, odebrało mi raz na zawsze ochotę do tresowania psów tutejszych. W Afryce południowej zupełnie co innego. Podróżnicy: Gordon, Cumming, Selons, Kirby i wielu innych doświadczali olbrzymich usług od psów z Afryki południowej. Cumming używał ich nawet, polując na słonie; Selons zawdzięcza im sporą ilość lwów; Kirby utrzymuje, że nie zabił nawet jednego lamparta bez dzielnej pomocy swej psiarni. Przytem wszyscy ci podróżnicy odbywali pochody konno, co im oszczędzało wielu trudów i niewygód, ja zaś nie mogłem mieć koni dla wielu przyczyn. Najpierw dla tego, że grunt w całym tym pasie jest nadzwyczaj nierówny, ciągle góry, doliny i znów góry i skały, liczne rowy, kotliny, nory hyen, kopce mrówkojadów, jednem słowem mnóstwo niespodzianych i arcyniemiłych zasadzek. Powtóre zaś gąszcze roślinne, nizkie gałęzie, liany i korzenie wystające ponad ziemią, utrudniałyby jazdę nieznmiernie. Dodajmy do tego jeszcze całe chmary złośliwych much tsetse, a każdy przyzna, że pochody konne są tu wprost niemożliwe.

Nawet psów nie biorę na polowanie w okolice, gdzie jest dużo much złośliwych, chcąc im oszczędzić bólu, ale też ładnie mi się za tę troskliwość wywdzięczyły.

Już trzy miesiące ubiegły od chwili, gdy nabyłem moją psiarnię, całe trzy miesiące ciężkiej i nudnej tresury.

Teraz nadszedł czas próby. Deszcze ustały. Słońce przypieka niemiłosiernie, wysuszając wszystko. Wody coraz mniej.

Korzystam z tego i rozpoczynam szereg nocnych zasadzek.

Wyszukujemy wśród lasów jakieś błota lub jeziorka i tam czatujemy na zdobycz.

Dobrze uzbrojony, z reflektorem elektrycznym w ręce włażę na jedno z drzew otaczających wodę i czekam cierpliwie na zdobycz. Zdaje się, że już dziesiątą noc tak spędzam na gałęzi, gdy nagle słyszę szelest i ostrożne stąpanie, to dwa lwy przychodzą pić... nastawiam reflektor, źle działa, prawie nic nie widać, strzelam jednak naoślep, stawiając w groźnem położeniu siebie i ludzi.

Raziłem obydwa lwy.

Rano znaleźliśmy nieco opodal jednego; leżał martwy. Drugi umknął daleko, także ranny, bo na tropie znać, że farbował.

Posyłam natychmiast po psy do obozu, aby zwierza ścigały, sam zaś chodzę i z radości zacieram ręce, jak człowiek pewny wygranej.

Gdy psiarnia przybyła na miejsce, kazałem zostawić psy na sforach i wprowadzić na trop.

Miałem w istocie szczęśliwe przeczucie, że nie kazałem ich spuszczać, bo jak tylko poczuły krew i zwęszyły, z jakim zwierzem będą miały do czynienia, tak w jednej chwili, jak stały, wszystkie wzięły ogony pod siebie i skryły się za ludźmi. Nie pomogły głaskania, zachęcania, groźba, im dalej prowadziliśmy je na tropie, tem większą okazywały trwogę. Wreszcie złość mnie porwała i z chęcią byłbym im we łby postrzelał. Kazałem je podprowadzić do zabitego lwa i tu dopiero powstała straszna panika. Psy ze strachu mało się nie powściekały, szczekały, skomlały, wyły, tarzając się po ziemi, wyrywały sie, chcąc uciekać, jednem słowem, istne piekło.

Nie dość tego, w parę dni później wprowadziliśmy je na trop postrzelonego lamparta i... taż sama awantura się powtórzyła.

W nocy, gdy lwy lub inne drapieżne zwierzęta podchodziły pod obóz, nasze psy, nieprzytomne z wielkiego strachu, wciskały się w najciaśniejszy kąt namiotu, lub kryły się między ludzi; nie były więc nawet zdatne do pilnowania obozu, trzeba zatem było skwitować z ich służby.

Ranionego lwa, pomimo wszelkich poszukiwań wśród traw i zarośli, nigdyśmy już nie znaleźli, ku wielkiemu naszemu zmartwieniu. Zdaje mi się jednak, że gdzieś paść musiał, bo za dużo krwi utracił. Stracić postrzeloną antylopę, to żal dla strzelca wielki, a cóż dopiero gdy chodzi o lwa.

Teraz więc psy stały się nieużytecznym balastem w naszym obozie i chciałem się ich koniecznie pozbyć.

Jednego z nich capnął znienacka krokodyl któregoś ranka, gdy pił wodę w rzece Revuque, zdążył tylko zaskowyczeć przeraźliwie i tyleśmy go widzieli; drugiego zaś zagryzły na śmierć tsetse; pozostałymi uszczęśliwiłem jednego z krajowców. Psiska wróciły do wsi i będą zapewne żyły w spokoju dopóty, dopóki jakiś drapieżnik nocny nie zgładzi ich z tego świata.

Taka jest zwykła kolej losu psów tutejszych i tem tłómaczy się ich instyktowny strach przed krwiożerczym nieprzyjacielem.

Wręcz przeciwne instynkty żywi wilk tutejszy. Jest on prawdziwą plagą większych drapieżnych zwierząt, a na jaką się zdobywa przebiegłość, jakich używa forteli, to doprawdy rzecz zadziwiająca.

Z prawdziwą przyjemnością śledziłem nieraz z kryjówki przebiegu takiego wilczego polowania *par force*, nie było tu, co prawda, ni koni, ni trąb, ni czerwonych fraków, lecz tylko zwierzęta rozszalałe w pogoni za ofiarą.

Przekonałem się kilkakrotnie, że wilki czepiają się nietylko innych zwierząt, ale nawet i lwom, tym królom stworzenia nie przebaczają, walczą z nimi z zajadłością i najczęściej ten zwierz potężny i niezwyciężony ginie. Broni się wprawdzie do ostatka, rozpruwa kłami napastników na prawo i lewo, lecz coraz to nowe rzesze wilków nadciągają, szarpiąc go i kalecząc. Wreszcie lew, osłabiony razami ulega, a cała, zgłodniała rzesza rzuca się nań i rozpoczyna krwawą ucztę [1]).

Pewnego wieczora, już dobrze o zmroku goniąc za słoniem, zapędziliśmy się ja i ludzie moi w jakieś nieznane i bezludne okolice, gdzie zwierza była moc niezmierna. Wyszukaliśmy jakąś wielką kałużę wody i tu zamierzaliśmy założyć obozowisko. Nad brzegiem wody znaleźliśmy wiele lwich tropów, lecz byłem zanadto zmęczony, aby przedsięwziąć jakiekolwiek polowanie lub nocną zasadzkę. Co mnie obchodzą lwy całego świata! Spać mi się chce straszliwie.

---

[1]) Zdaje mi się, że wilk jest jedynym wrogiem lwa.

W kilka chwil ludzie moi zrobili przy pomocy siekiery mały zasiek z drzew i gałęzi, w której mieliśmy zamiar noc przepędzić; schronienie małe, lecz bezpieczne Podczas rąbania gałęzi murzyni spostrzegli w jednem z drzew gniazdo pszczół. Owady te są w nocy mniej dokuczliwe, wiec strzelcy moi postanowili doczekać się ciemności i wykurzyć pszczoły, a miód zabrać do obozu.

Urządzenie noclegu zajęło nam sporo czasu, noc niebawem zapadła, rozpalono ogniska i Rodzani, Tszigallo i Msiambiri, wziąwszy suchej słomy i wici, wyszli z obozu i udali się w stronę pszczół, ja zaś, Tambarika i dwóch posługaczy od noszenia żywności i wody, pozostaliśmy przy ogniskach: ludzie moi gwarzyli zcicha, a od strony lasu dochodziły nas miarowe uderzenia siekiery.

Nagle usłyszeliśmy w pobliżu jakiś szelest, a potem pomruk złowrogi. To lwy... Jest ich cztery, słychać doskonale, jak stąpają po suchych liściach. Posuwają się powoli, mrucząc złowrogo, od czasu do czasu odzywał się jakiś skowyt straszny; a potem cisza... tylko liście pod łapami szeleszczą.

W tej samej chwili ludzie moi od strony lasu zaczęli gwizdać przeciągle na alarm. Rzuciłem okiem na drąg, gdzie zwykle w obozie wieszaliśmy broń, i spostrzegłem, że zabrali tylko jedną strzelbę, a i tę zapewne zostawili na dole, pod drzewem.

— Wracajcie! — krzyknąłem im.

— Nie sposób, bo lwy nas zewsząd otaczają.

— Więc siedźcie na drzewie.

— Ależ, spadniemy, bo gałąź się obsuwa[1]).

Nie można było dłużej się namyślać. Baczność, idziemy. Jeden z czarnych niesie słomiane zapalone wici, podczas gdy ja i Tambarika, uzbrojeni w strzelby, wychodzimy z obozu. Noc czarna, choć oko wykol, w ciemności właziemy prawie na drzewa i krzewy.

Lwy krążą dokoła nas, ze wszystkich stron dochodza nas straszne pomruki, lecz nic nie widać... Doszedłszy tak do drzewa, zastajemy naszych towarzyszów, jak jeden z nich nabija strzelbę, a inni rozdmuchują nawpół wygasłe pochodnie... Lwy krążą ciagle... w ciemności odgadujemy, jak się zbliżaja i oddalają.

W tej chwili Tambarika szepcze nam na ucho: „udajmy p'umpis“ (wilk). Pyszna myśl, jakoż zaraz zaczęliśmy wszyscy wyć zcicha, żałośnie, Przeciągle hau, hu, hu, rozeszło się po lesie, jakby echo wilków wyjących gdzieś w oddali. Ludzie z obozu odpowiadają nam. Skutek był piorunujący, bo w tejże chwili usłyszeliśmy obok nas jakiś zamęt, łomotanie, kwik i szelest gałęzi. Lwy umknęły! Sąsiedztwo bandy wilków tak przeraziło zwierzęta, że uciekły co sił starczyło. Tambarika miał świetny pomysł. W tryumfie wracamy do obozu, obarczeni plastrami świeżego miodu, i do rana śpimy przewybornie.

Zdaje mi się jednak że lwy, co nam tyle strachu napędziły, chciały się poprostu napić wody z kałuży, a widząc na swej drodze nieproszonych gości, przez pomruk okazywały swe niezadowolenie.

Byłyby może napiły się i poszły w spokoju, gdyby nie hałas gałęzi obsuwającej się pod ciężarem mych towarzyszów.

(C. d. n.)

[1]) Czarni opierają zwykle gałąź długą o pień drzewa i wiążą po niej, pomagając sobie rękami.

Otrzymujemy od niejakiego p. Piotra Mazura sprostowanie korespondencyi naszego delegata p. Tadeusza Romanowskiego, zamieszczonej w Numerze 18-tym *Łowca*, z odwołaniem się na §. 19-ty ustawy prasowej i sprostowanie to z zachowaniem oryginalnej pisowni niniejszem zamieszczamy:

Z Sprostowanie.

Niezgodnem jest z prawdą jakobym był „dziennym zarobnikiem“ a, tem mniej „znanym kłusownikiem“, ani też dziennym robotnikiem ani należę do tych ludzi o których „bezparnie“ mozna przypuszczać co przejdzie... no to trup, zebym już 8. września strzelał do zajęcy. —

W nadzieji, ze szacowna Redakcya spelni moje zyczeni kreślę się powolnym sługą

Piotr Mazur.

Uczyniwszy w ten sposób zadość życzeniu p. Piotra Mazura, a raczej ulegając wszechmocnemu przepisowi §-fu 19-go ustawy prasowej — dodać tylko możemy, że nigdy lepiej, jak w tym wypadku przysłowie o uderzeniu w stół i o nożycach się nie sprawdziło, gdyż p. delegat Romanowski nikogo imiennie nie wzmienił. Gdy zaś dochodzą nas wiadomości, że sprawa polowania w Zubówmostach i kwestya zatwierdzenia aktu licytacyjnego jeszcze przesądzoną nie jest, że dalej tym czasem zaszły dalsze interesujące, a dotyczące tego polowania fakta, którymi na razie Żandarmerya, a zapewne w przyszłości Sąd i Starostwo się zajmą — więc oczekujemy z niecierpliwością dalszych wiadomości w tej sprawie, które niewątpliwie czytelników *Łowca* zajmą, a suchemu sprostowaniu dodadzą potrzebnej pikanteryi.

Redakcya.

Drobne ogłoszenia.

Kupuje wszelkiego rodzaju zwierzynę, bez różnicy pory

zajęcy	sztuka zł.	1·—
rogaczy	kilogram „	—·40
dziki warchlaki od 15 kilo do 35 kilo	„	—·25 kilo
dziki średnie „ 35 „ „ 45 „	„	—·20 „
dziki duże „ 45 „ wyżej „	„	—·10 „
bażanty	sztuka „	1·20
jarząbki	„ „	—·90
słonki	„ „	—·90
kuropatwy	„ „	—·55
kaczki dzikie	„ „	—·50

Michał Krzywda pasaż Andriollego, Rynek 29.

! Ważne dla P. P. myśliwych!

Rozporządzeniem Wysokiego ces. król. Ministerstwa wojny, oddział VII do l. 744 z dnia 6. maja 1902 roku, otrzymał podpisany, przy swojej dotychczasowej licencyi na sprzedaż prochu austryackiego również

wyłączną sprzedaż

— dla —

GALICYI i BUKOWINY

zagranicznych gatunków prochu i patronów

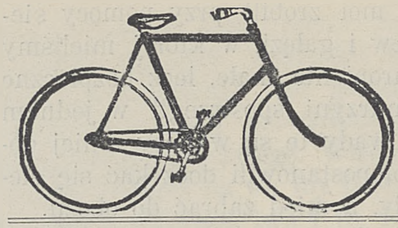
dla wszelkiego rodzaju broni kulowej i śrótowej.

Wszelkie zamówienia z dokładnem podaniem gatunku, kalibru i systemu, **z dołączeniem stosownego zadatku**, będą wykonywane o ile możności jak najspieszniej.

Alfred Dzikowski

c. k. nadworny dostawca

we Lwowie ul. Karola Ludwika 1.



Rowery z pierwszorzędnych fabryk krajowych i zagranicznych, odznaczają się nadzwyczajną trwałością i lekkim chodem.

Rowery z motorem „Republic“, znacznie ulepszone, o sile $1^1/_4$—3 HP. od 850—1350 K.

Latarnie acetylenowe do rowerów i powozów, całkiem bezpieczne, pod gwarancyą od 7—50 Kor.

i **LAWN TENIS** poleca najtańszy handel towarów sportowych

Władysława Łukasiewicza

LWÓW, AKADEMICKA 26.

Prospekty bezpłatnie. Prospekty bezpłatnie.

Jedyny rzeczywisty import herbaty!

Handel herbaty chińskiej

Edmunda Riedla

we Lwowie, ulica Teatralna liczba 3.

(druga kamienica od placu Maryackiego)

poleca

HERBATĘ



zbioru majowego bezpośrednio z Chin sprowadzoną, ciemno naciągającą, z wybornym smakiem i aromatyczną wonią,

½ kilo:

Congo czarna	1 Nr.	1·60
Souchong czarna	2 „	2·—
„ „ zbiór majowy	3 „	3·—
Kaysow czarna	4 „	4·—
Melange de Londres	5 „	4·—
Pecco kwiatowej	6 „	3·—
„ „ karawanowej	7 „	4·—
„ „ najprzedniej	8 „	6·—
Gumpowder ziel. perłowa	9 „	3·—
	10 „	4·—
Wysiewki herbaciane		1·30
„ „ z najlep. herbat		1·60

poleca najlepsze gatunki

KAWY

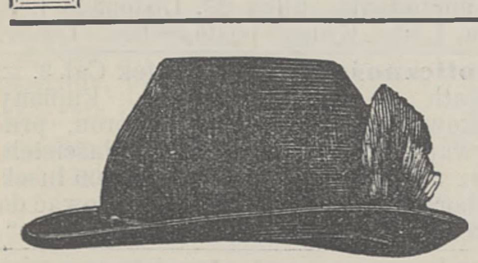
o smaku czystym i aromatycznym

które rozsyła franco, opłacone do każdej stacyi pocztowej $4^3/_4$ kilo w woreczku:

Jamajka	7·—	½ kl. —·70
Santos	7·50	„ —·80
Portorico	8·85	„ —·96
Cuba grubo ziarnista	9·20	„ —·90
Ceylon zielona	9·50	„ 1·—
„ „ przednia	10·—	„ 1·04
„ „ grubo ziarnista	10·50	„ 1·08
„ „ perłowa	10·50	„ 1·08
Mocca arabska aromatyczna	10·50	„ 1·08
Jawa złota	10·50	„ 1·08

Ceny herbaty oznacza się na ½ kilo w paczkach po ½, ¼, ⅛ kg.

Opakowanie nie liczy się. — Zamówienia z prowincyi wysyła się odwrotną pocztą.



KAPELUSZE FILCOWE

LODENOWE i SŁOMKOWE.

CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU.

SZTYLPY, MESZTY i KALOSZE

PETERSBURGSKIE



poleca

Kazimierz Bielczyk

Lwów, Halicka l. 21. — Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**